ROZMAITOŚCI.

Dnia 25 stycznia, **N^{er} 4.** **roku 1845.**

Czarny starosta.

(Dokończenie.)

Ciemna noc jesienna kryła ulice Warszawy. W domu podskarbiego jaśniało tylko jedno okno bladém światełkiem, które się paliło w komnacie pojmanego starosty. Samotny więzień znajdował się w najokropniejszym stanie. On, który dotąd był postrachem w kraju, ujrzał się teraz pokonanym — zhańbionym — w ręku swoich nieprzyjacioł. Najsroższa nocna burza nie może być porównana z rozpaczą, jaka wtedy w jego piersi wichrzyła. Dzika żądza wolności i zemsty, tysięczne nadaremne zamysły stargania swoich więzów, nagłe oburzanie się przeciw losowi i przeciw sobie samemu, wreszcie głucha chwilowa rezygnacyja, a potém znowu namiętne życzenia zagłady nieprzyjacioł — to wszystko wiło się bez ustanku jadowitemi węży w jego nieukróconéj duszy, i dręcząc go najokrutniejszą męczarnią rozsnuwało mu czarne chwile téj nocy w nieskończoność wieczności. Nad rankiem popadł w pewną letargiczną strętwiałość, gdzie krótki przemijający sen omamił go zwodnym widokiem zielonych borów, rączych koni i licznéj drużyny towarzyszów, z którymi wyruszał na pomszczenie się wyrządzonéj sobie zniewagi. Natenczas wzniosły się jego piersi z roskoszą, natenczas zakipiała krew w żyłach, aż zbyt gwałtowne wzruszenie zdarło mglistą tkankę snu z oczu, a straszna rzeczywistość nową go grozą przejęła.

Lecz oto patrz! Wszakto on nie sam jeden w komnacie... U wpółotwartych drzwi stoi jakaś zasłoniona niewiasta i milcząc daje mu skinienie. Zerwał się uniesiony radością i nadzieją; ona skinęła powtórnie na znak milczenia i wyszła niesłyszalnym krokiem z komnaty. Czarny starosta postąpił zcicha za nią, nieznajoma przewodniczka szła z światłem w ręku naprzód, wkrótce minęli kilka kurytarzy, a wkońcu zatrzymali się u małych drzwiczek, które się odemknęły przed niemi. Świeży przeciąg powietrza zawiał ze dworu i musnął gorącą pierś starosty — byłto pocałunek wolności.

»Któż jesteś! Jakże ci odwdzięczę!« zawołał Tarczyński, przeczuwając niepewnie, kto mu w tak tajemniczy sposób życie ocalał.

»Uchodź!« ozwała się stłumionym głosem nieznajoma. »Ochroniłeś mi był niegdyś życie, teraz ja ci dług mój oddaję. Spiesz się!«

»Kazimiro!« krzyknął mimowolnie starosta, lecz jego oswobodzicielka nakazała mu groźnym ruchem milczenie, niemo tylko ścisnął jéj rękę i wybiegł na ulicę. Dumna dziewczyna zamknęła starannie fórtkę i wróciła do swego samotnego pokoiku, walcząc z niewymownie gorzkiém uczuciem, które omało nie rozdarło jéj młodéj piersi. Całą noc przepędziła w bezsennej walce z myślami, a skoro dzień zajaśniał, pobiegła do swego stryja i wyznała mu wszystko, co uczyniła. Z początku oburzył się podskarbi na tę wiadomość, sądząc iż przez to naruszenie danego królowi zaręczenia za osobę starosty, jego własny honor ucierpi; zastanowiwszy się jednak spokojniej nad wszelkiémi okolicznościami, rozważywszy pobudkę Kazimiry, swój własny stosunek do Tarczyńskiego, któremu właśnie niedawno odmówił był pojedynku, tudzież skutki, jakie dlań z wytoczenia surowego procesu wyniknąć mogły, wreszcie przykre wrażenie téj całéj sprawy na szlachtę — musiał sam przyznać, iż ucieczka starosty była najpomyślniejszém rozwiązaniem tak nieprzyjemnego dla wszystkich zawikłania, i pospieszył donieść o tém królowi.

Stanisław Leszczyński ściągnął oziębłe ramionami i — »Wyższemu zatém sedziemu« — odpowiedział — »musimy jego ukaranie zostawić. Macie słuszność, panie podskarbi; cała Polska ujęłaby się za nim, gdyby go potępiono. Ale czyż godzi się to istotnie, aby podobne względy zatrzymowały ramię sprawiedliwości, jeźli ona znowu na ojczystéj ziemi ma postać?«

Nagłe wypadki następnych dni po elekcyi zatarły wkrótce pamięć starosty Tarczyńskiego. Po odbudowaniu mostu na Wiśle przez wojewodę mazowieckiego Poniatowskiego, ojca późniejszego króla Stanisława Augusta, rozpaliła się nowa walka po tamtéj stronie rzeki. Pomimo najzaciętsze usiłowania nie mogło żadne stronnictwo wziąć góry, aż wkoń-

cu książę-kanclerz litewski Wiśniowiecki ustąpił sam dobrowolnie z pola i złączył się z wojskami rossyjskiemi, które pod dowództwem feldmarszałka Lascy zbliżyły się na wezwanie kanclerza ku Warszawie.

To stanowcze zdarzenie poraziło umysły przeciwnej strony i przejęło ją trwogą. Większa część stronników Stanisława ujechała z Warszawy i rozprószyła się po kraju. Pomiędzy tymi był też i książę-prymas, który niegdyś pierwszy ten pożar domowéj wojny rozniecił.

»Trzeba nam zyskać na czasie," mówił on przed wyjazdem do króla Stanisława. »Radzę waszéj królewskiéj mości udać się ze mną do Gdańska. Mieszczanie tamtejsi są wam przychylni; warowne miasto może długiemu oprzéć się oblężeniu; burmistrz Dusseldorf dał mi najmocniejsze zapewnienia w tym względzie. Tymczasem nadejdą posiłki, które nam Francyja i Hiszpanija przyobiecały.»

„Jedźcie z Bogiem," odpowiedział Stanisław. »Zabezpieczcie mi schronienie na przypadek nieszczęścia. Dziś jednak jest moje stanowisko tutaj, gdzie mnie obrano, i nie ustąpię też wprzódy, aż póki nie będę do tego przymuszonym."

Książę-prymas odjechał, a wkrótce powiały chorągwie rossyjskie w murach polskiéj stolicy. Po raz pierwszy! — —

Rozpoczęto układy, a chociaż cała Polska pytała: jakiém prawem Rossyja tu występuje — rossyjskie wojska stały i groziły przeciwnéj stronie.

Tak wzmogła się partyja saska. Zawiązana w Kamieniu konfederacyja obrała Adama Ponińskiego marszałkiem i ogłosiła pod jego laską Frydryka Augusta królem. Stanęła wprawdzie druga konfederacyja w Dzikowie, obwołująca królem Stanisława, lecz niepewna dotąd szala, zniżyła się już widocznie na korzyść strony saskiéj; król Stanisław Leszczyński musiał opuścić stolicę, do któréj teraz Rossyjanie jako przyjaciele wkroczyli.

»Pozostań," prosił król Stanisław w podróży wiernego Ossolińskiego. „Towarzysząc mi, przywiązujesz się do sprawy, która upadła."

»O nie trać jeszcze ducha, mój królu!" ozwał się Ossoliński. »Jeszcze nic nie stracono; jeszcze nasza będzie wygrana!"

»Ty sam temu nie wierzysz," odpowiedział król Stanisław z smętnym uśmiechem. »Wytrwam do końca; lecz widzę niestety dobrze, iż Bóg niechce dozwolić, aby moje zwłoki w rodzinnéj leżały ziemi. Bądź tedy rozsądnym, mój Sewerynie, i pogódź się z nowym królem: jest to łagodny i sprawiedliwy książę. Daję ci moje słowo, iż ci tego kroku za złe nie wezmę; jesteś to winien sobie i swéj rodzinie.»

Przy tych słowach spoczęło jego oko na Kazimirze, która jak ani na chwilę stryja nie odstępowała, tak też i przy téj rozmowie obecną była. — »Hańba nam wszystkim!» — zawołała w uniesieniu — »gdybyśmy byli zdolni opuścić ciebie królu! Ale nie, to się nigdy nie stanie! Wasza królewska mość wyjdziesz zwycięzko z téj walki, a wszyscy Polacy, którzy się waszéj dobréj sprawie sprzeniewierzyli, powrócą ze wstydem do swojéj powinności."

»Nie odpychaj nas więc od siebie," zaklinał podskarbi króla. »Rozstrzygnienie w ręku samego Boga.»

Król uścisnął wiernego przyjaciela i zawołał: „O gdyby nasza ojczyzna więcéj podobnych synów miała! Nietakby jéj natenczas było, jak dzisiaj!"

Wieczorem wziął Ossoliński swoję synowicę na poważną rozmowę. Przedstawił jéj, iż mu dłużéj towarzyszyć nie może; iż on się uda z królem do Gdańska, gdzie ich wszelkie niebezpieczeństwa długiego oblężenia czekają; koniec wątpliwy, a wypada nawet wnosić, iż król wreszcie zupełnie z kraju ustąpić będzie musiał. Ztąd najstosowniéj dla Kazimiry, aby z panią Załuską do jéj dóbr wyjechała. Lecz Kazimira odrzuciła stanowczo wszelkie podobne rady, oświadczając silną wolę nieodstąpienia króla i stryja w żadnym razie.

»Nie ma tu już nic dla mnie," rzekła, patrząc ponurojaśniejącym wzrokiem przed siebie — „coby mię wiązać mogło. Doznałam na téj ziemi najsłodszego uczucia i najsroższego zawodu; — teraz już mniejsza oto, dokąd z wami się udam.»

»Wspomniałaś o twojéj nieszczęsnéj znajomości z starostą...» ozwał się podskarbi, domyślając się jéj tajemnicy.

»Ani słowa otém, mój stryju!» przerwała mu gwałtownie. »Oddałam com była winną, — teraz już wszelkie związki pomiędzy nami zerwane."

Doświadczony polityk zajrzał głęboko w serce młodéj dziewczyny i odkrył tam silną lecz przytłumioną namiętność. Czując jednak istotny szacunek dla niezwykłéj stałości, z jaką ten ból serca znosiła, nie chciał dalszémi słowy dotykać niezupełnie jeszcze zgojonéj rany, zwrócił mowę na jéj przyjaciółkę Matyldę, o któréj od czasu jéj wyjazdu nic w domu podskarbiego słychać nie było.

»Jestem przekonaną, że Matylda będzie szczęśliwą;" rzekła Kazimira z pewnością.

Dotychczas jednak nie wyglądało na to. Matylda prowadziła u swojéj wujenki życie, które wcale jéj duszy nie odpowiadało, to jest życie pełne przepychu i zewnętrznego blasku, ale bez żadnego istotnego zaspokojenia serca — a do tego musiała codziennie słyszeć, iż jest narzeczoną starosty Tarczyńskiego. Pomimo sprzeciwianie Matyldy ogłosiła to księżna po całéj okolicy, i żadnéj już niepodpadało wątpliwości, że skoro tylko wojna domowa minie, piękna Saxonka żoną najgorliwszego stronnika partyi saskiéj zostanie.

Tymczasem nadchodziły tylko bardzo rzadkie i niedokładne wiadomości z widowni wojny. Książę Wiśniowiecki nie sądził potrzebną rzeczą, donosić swojéj małżonce o wszelkich zmianach okoliczności, które codziennie inną mogły wziąć postać. Hrabia Ortenburg był teraz właśnie najżywiéj pełnieniem swego różnostronnego obowiązku zajętym, i niemogąc żadnych z oddaloną kochanką utrzymować stosunków, oczekiwał jedynie spodziewanego zawarcia pokoju i przybycia swojego elektora do Polski. Tenże same powody przypisywano także dotychczasowemu milczeniu czarnego starosty, o którego ostatnich losach najmniejszéj na dworze księżnéj nie miano wiadomości. Jakże się więc zdziwiono, gdy nagle rozeszła się pogłoska, iż starosta Tarczyński w dzień powtórnéj elekcyi przez stronników Stanisława Leszczyńskiego uwięzionym i na powszechne domaganie się ludu pod sąd oddanym został. Późniejsze wydarzenia, w skutek których stronnictwo saskie przemogło, kazały się wprawdzie domyślać, iż ten wymierzony przeciw staroście zamach zapewne przez jego zwycięzkich teraz przyjaciół był zniweczonym, lecz ponieważ żadnych dalszych wiadomości nie było, a książę w swoich listach nic o tém nie wspominał, przeto panowała zupełna niepewność pod tym względem.

Łatwo pojąć jakie wrażenie te niespodziane nowiny na biedną kuzynkę księżny wywarły. Pozbawiona już wszelkiéj nadziei uniknienia związków z starostą Tarczyńskim, zaczęła teraz wolniéj oddechać i nabrała odwagi do stałego wytrwania.

Słotna północna jesień już się była daleko posunęła; ogołocone z liści drzewa sterczały nago śród opustoszałéj okolicy; niektóre tylko jaśniejsze dnie przerywały nieustanną niepogodę obecnéj pory Z tych rzadkich dni nie omieszkała nigdy korzystać ile możności Matylda, i wychodziła na samotną przechadzkę po zasłanych opadłym liściem ulicach szerokiego ogrodu, gdzie bez żadnéj przeszkody swoim tęsknym marzeniom, swoim nowo teraz odżywającym nadziejom swobodnie oddać się mogła. Na zachodnim końcu ogrodu, którędy gościniec do stolicy, a daléj do jéj ojczystego kraju prowadził, nad szeroką, wysokiémi krzewami obrosłą fosą, która ogród od gościńca dzieliła, stała rozłożysta lipa z daleko rozpostartémi ramiony. Tu bywał zwykle kres przechadzek Matyldy, tu błąkała tęsknem okiem ku zachodowi, wyglądając czy jaki znak przyjaźni, jaki upominek miłości, nie przyniesie jéj wieści od kochanka, a dopiéro gdy mrok wieczoru jął szarzeć, gdy wiatr mocniejszy silniéj gałęzie lipy poruszył, żegnała posępnie ulubione swe miejsce i odchodziła do zamku. I dzisiaj było już słońce zaszło, a jesienny wiatr szumiał dziko po bezlistnych konarach; zziębniona Matylda, po daremnem wyglądaniu na gościniec, zabiérała się do powrotu, gdy nagle zabrzmiał tętent koni po drodze i dał się słyszéć turkot szybko nadjeżdżającego powozu. Serce Matyldy uderzyło gwałtowniéj; wystąpiła zza krzaków, które jéj widok na drogę zasłaniały — a wtém krzyknięto w powozie: stój! — powóz stanął, a jakiś mężczyzna — przeskoczywszy w téjże chwili fosę — rzucił się jéj namiętnie do nóg. Przestraszona Matylda wydała krzyk zdziwienia, i chciała spiesznie uciec, lecz nieznajomy ujął silnie jéj rękę i przyciskał ją do ust.

»O nie odwracaj się odemnie!« zawołał. »Patrz, przychodzę złożyć ci moje życie, moję całą przyszłość w ofierze.«

»Panie starosto!« wyjąknęła Matylda. »Puśćcie mię! Puśćcie, zaklinam was na Boga!«

»Chyba wraz z mojem życiem zdołam ciebie opuścić!« mówił w uniesieniu starosta. »Ty jesteś jedyną gwiazdą mojego życia! jedynem szczęściem mojém! Ty sama tylko możesz rozjaśnić otaczającą mię ciemność! Całe moje zbawienie zawisło na promieniu twojego oka! O, nie odwracaj się ode mnie! Ty niewiesz jak mię nieszczęśliwym uczynisz, odpychając mię nielitościwie od siebie!«

To mówiąc zerwał się z ziemi i przyciskał jeszcze mocniéj rękę jéj do swéj piersi. Wyraz gwałtownéj namiętności, który całą jego postać ożywiał, poruszył też pobudzającą siłą miękkie serce Matyldy. Chociaż nie była wstanie okazać mu się wzajemną, ani oddać mu ręki: przecież kiedy tak namiętnie ją kochał, nie mogła z zupełną wzgardą odtrącić jego uczucia. — »Nie zapoznawajcie mnie, panie starosto!« prosiła Matylda łagodnie. »Nie mogę, nie wolno mi żadnéj nadziei wam pozostawiać. Bądźcie spaniałym i nie pytajcie mnie o więcéj. Znajdziecie jeszcze serce, które lepiéj waszą miłość odwdzięczy, i zdoła was uszczęśliwić.«

»Uszczęśliwić?!« zaśmiał się gorzko starosta. »O, ty jedna tylko, możesz stać się moim aniołem-stróżem! Ty jedna tylko możesz mię jeszcze ocalić, możesz mi wskazać drogę do szczęścia i zbawienia. Byłem występnym, okrutnym, dopuściłem się niemało czynów, których teraz żałuję, lecz bądź moją, a będę znowu dobrym, jak niegdyś w dniach dzieciństwa! O bądź mi aniołem-stróżem — i broń mię przed sobą samym! — Chceszże mię wtrącić pomiędzy potępionych, gdy mię ocalić możesz?«

Nie wiedząc sam o tém, dotknął témi słowy tajemną stronę, która żywy oddźwięk w piersi Matyldy znalazła. Przy wszelkiéj swobodnéj wesołości młodego wieku była ona od dzieciństwa do smętnych rojeń skłonna, a myśl nawrócenia nieszczęśliwego, zbłąkanego człowieka na prawą drogę cnoty, miała dla niéj pewien dziwnie zachwycający ją powab.

»O nie mówcie tego!« odrzekła. »Dla czegożto mojéj właśnie mielibyście potrzebować pomocy! Nie

traccie tylko odwagi, jeszcze sami łatwo ocalić się zdołacie!"

»O nie, Matyldo! Bez ciebie zginę!" wołał. »Jeżli ty moją nie będziesz, natenczas niedbam już więcéj o niebo ani o piekło — natenczas jeszcze tylko jedna zemsta mi pozostanie — zemsta nad całym światem, który mi szczęście wydarł! Powiedz chceszże być moją?"

W téj chwili ozwały się różne głosy w ogrodzie; wołano po imieniu Matyldę, za którą zniespokojona tak długiém zatrzymaniem się jéj wujenka, wysłała służebne panny do ogrodu.

»Czekam nazajutrz odpowiedzi!" zakończył starosta, odchodząc spiesznie, podczas gdy Matylda ku wołającym za nią osobom pobiegła.

Obaczywszy się z księżną nie śmiała Matylda wspomnieć o spotkaniu swojém z starostą, który wszakże po niedługim czasie sam się damom przedstawił. Księżna była chwilę niepewną w jaki sposób przyjąć niespodzianego gościa. Tak bowiem poprzednie wieści o wyznaczonym nań sądzie, jak osobliwie niektóre wcale nie pochlebne wspomnienia o staroście w ostatnich listach księcia-kanclerza, zmieniły były zbyt dostatecznie cały dawniéj między panem Tarczyńskim a rodziną książęcą zachodzący stosunek, aby jeszcze przypuszczać można było, iż owe zamierzone niegdyś połączenie Matyldy ze starostą, w teraźniejszym stanie rzeczy, istotnie do skutku przyjdzie. Dla tego ozwała się księżna jak najozięblej: »Przybywasz pan z Warszawy? Czyżeś pan tam z księciem nie mówił?"

„Zastałem go nieco cierpiącym," odpowiedział starosta; »i ztąd nie przyszło do zupełnego porozumienia się między nami."

»Otrzymałam jednak listy od niego;" mówiła księżna daléj — »w których mię zawiadamia, iż wpanu swoje przeciwne zdanie dość jawnie już oznajmił. Dziwi mię więc nie mało..."

»Wyrzeczone raz słowo," odparł starosta żywo — »nie da się tak łatwo przeciwném zdaniem zniweczyć. Przychodzę uczynić księżnę uważną, jakby nieprzyjemne skutki ztąd wyniknąć mogły."

»O tém, panie starosto, należy mówić z księciem, nie ze mną;" odrzekła księżna obojętnie. »Zresztą żałuję mocno, iż wpanu tutaj długo pobytu uprzyjemnić nie mogę, gdyż stosownie do życzeń księcia, wyjeżdżamy temi dniami na powrót do Warszawy."

»Mam tedy z niczém odejść!" wyjęknął starosta z zaciętym gniewem.

»Nie tłumacz sobie wpan tego w ten sposób," odpowiedziała księżna spokojnie. »Sam jednak przyznasz panie starosto, iż będąc w twojém dzisiejszém położeniu, nie wypada ci wcale myślić o związkach, które śród zupełnie odmiennych ułożono okoliczności."

»Bądź mi więc zdrowa, księżno!" zawarł groźnie Tarczyński. »Czarny starosta popamięta tę chwilę."

To rzekłszy wyszedł i zostawił obiedwie damy w najżywszéj trwodze. Po krótkim czasie kazała księżna przywołać marszałka dworu, z którym długo o zabezpieczeniu swego powrotu do stolicy od wszelkiéj napaści w drodze mówiła. Nareszcie ułożono najstosowniejsze środki i zapowiedziano wyjazd na dzień pozajutrzejszy.

Czarny starosta opuścił natychmiast zamek, gdzie mu już żadna nadzieja spokojnego dopięcia swoich życzeń nie pozostała. Ale mimo zmienione chęci kanclerza, mimo przeciwność księżny, mimo nawet niewzajemność Matyldy — nie odstępował tak snadno od zamierzonego celu. Jeżli mi dobrowolnie nie chcą dotrzymać słowa — pomyślał sobie — tedy ich zmuszę do tego. Był zaś już zanadto poważniony ze światem, aby mu jeszcze miało na tém zależeć, jaki o nim wyrok ludzie wydadzą. Stłumił więc upornie wszelkie zarzuty sumienia i oddał się jedynie swojéj nieukróconéj żądzy posiadania Matyldy i zemszczenia się nad swoimi przeciwnikami.

Tą dziką żądzą gnany, udał się coprędzéj do swoich posiadłości, i zebrawszy liczną drużynę dworzan i dawnych towarzyszów swoich nieprzyjacielskich wypraw, pospieszył z nimi na spotkanie powracającéj do miasta księżny. Byłato jego ostatnia stawka na niepewny los szczęścia. Lub zdobędzie sobie Matyldę i ujdzie z nią za granice, daleko od wszystkich wrogów, na łono nowego życia — lub zginie w dobijaniu się o to i skończy już ten zawód występków i nienawiści.

Podróżny orszak księżny, z którym ona już istotnie na powrót do ulubionéj stolicy wyjechała, nie składał się ani z połowy téj znacznéj liczby ludzi, jaka staroście w jego obecnéj wyprawie towarzyszyła. Ztémwszystkiém odbywała się podróż księżny dość szybko; niewielka garstka dworzan znachodziła wszędzie po drodze najchętniejszą gotowość do przyśpieszenia jéj jazdy, a tak miała księżna nadzieję, iż przybędzie bezpiecznie i wcześniéj do Warszawy, niż się sam książę-kanclerz spodziewał. Matylda była daleko weselszą w drodze; zejście się jéj ze starostą i jego ostatnie pogróżki napełniały ją wprawdzie jeszcze niemałą trwogą, lecz kilka wyrazów księżny, z których się mogła domyśleć, iż wszelkie stosunki z starostą są już zerwane, przejęły ją niewymowną radością i rokowały jéj błogie nadzieje najpiękniejszéj przyszłości.

Któż tedy zdoła opisać jéj szczęście, gdy pewnego poranku, właśnie na wyjezdném z miasteczka, w którém się na nocleg zatrzymano, nadjechał jakiś jeździec w pędzie ku oberzy, a ona w nim miłe oblicze kochanka swego poznała!

»Hrabia Ortenburg!« zawołała księżna z zdziwieniem, postrzegłszy jeźdźca przez okno.

W téj chwili wszedł pokojowiec, oznajmiający hrabiego, i wstąpił sam oznajmiony. Pierwsze jego spojrzenie padło jasném promieniem na zrumienioną Matyldę, lecz pierwsze powitanie oddane było księżnie, która z uprzejmym uśmiéchem jego ukłon przyjęła.

»Przybywam tu od twojego małżonka, dostojna księżno,« — ozwał się hrabia — »aby ci pani w dalszéj towarzyszyć podróży. Mogęż sobie tuszyć, iż przyjmiesz moje usługi?«

Księżna odpowiedziała z ugrzecznieniem a hrabia zwrócił się teraz do Matyldy i rzekł do niéj owym rzewnym, dobrze jéj znanym głosem: »Jaśniejsza gwiazda świéci nam teraz niż wówczas, gdyśmy się rozstawali. Ten oto list książęcia zawiéra zatwierdzenie naszego szczęścia« To rzekłszy doręczył księżnie pismo kanclerza, a gdy ona je przeglądnęła — »Teraz« dodał hrabia Ortenburg, »nie pozostaje mi nic więcéj, jak tylko ciebie jeszcze, dostojna księżno, prosić o zezwolenie. Wszakże nie zechcesz odmówić? Prawda Matyldo...«

Tu ujął drżącą rękę dziewicy, która przemożona uczuciem, ledwie przytomna od gwałtownego wzruszenia, lecz oraz pełna niewysłowionej roskoszy, stała przed zadziwioną księżną z zapłonioném obliczem, z spuszczonémi nadół oczyma, powolna wszelkiemu skinieniu swego szlachetnego kochanka, który od téj chwili miał być już wiecznym przewodnikiem jéj życia.

Jakkolwiek księżna była przygotowaną na to, gdyż wiedziała o powtórném staraniu się hrabiego o rękę swojéj kuzynki, jakkolwiek nawet życzyła sobie tego związku, który znacznie wpływ księcia Wiśniowieckiego na saskim dworze wzmacniał; przecież tak nagłe oświadczenie, tak nieceremonijalne odezwanie się z prośbą o błogosławieństwo księżny, zdawało się jéj zbyt wielkim występkiem przeciw wszelkiéj przyzwoitości, i miała już należytą przybrać powagę, gdy wtém wszczęła się jakaś okropna wrzawa, która wzmagając się coraz bardziéj po ulicach miasteczka, a wreszcie i do ich gościnnego mieszkania doszedłszy, zwróciła całą uwagę obecnych osób na siebie. Księżna, hrabia Ortenburg i Matylda zbliżyli się do okna i ujrzeli tłumy uciekającego ludu; za niemi gnał hufiec zbrojnych jeźdźców, który dopędzony w okamgnieniu przez inną zbrojną siłę, rozpoczął tuż przed oknami oberzy zaciętą walkę ze swymi przeciwnikami. Nikt nie wiedział powodu tego niespodzianego boju, który rozpaliwszy się tak nagle w ciasnych krętych uliczkach, wprawił teraz swoim przeraźliwym łoskotem w śmiertelną trwogę obie podróżne damy, które już ustąpiły od okna, szukając w najodleglejszym kącie schronienia. Hrabia Ortenburg uspokajał je ile możności, ale w końcu nie mógł także pozostać nieczynnie przy damach, lecz wybiegł na dwór, aby się tam dowiedzieć, jacy nieprzyjaciele tak zaciętą walkę tu wszczęli.

Ledwie stąpił za bramę, został natychmiast sam napadniętym, musiał się wszelkiemi siłami od naciérającego nań zewsząd nieznajomego, lecz dobrze uzbrojonego wroga obraniać. Natłok walczących przeciwników, wzniecona końmi kurzawa, wreszcie kłęby dymu z licznych pochodzącego strzałów, ćmiły całą scenę utarczki i nie dozwalały rozpoznać nieprzyjacioł z którymi hrabia Ortenburg miał do czynienia; lecz naraz przedarł się jakiś jeździec pomiędzy tłumy, i krzycząc potężnym głosem: »Tuś mi mój panie hrabio!« natarł wściekle na kochanka Matyldy. Już miał biedny młodzieniec paść pod jego ciosem, gdy w tejże saméj chwili został naciérający nań przeciwnik przez innych jeźdźców obskoczonym, i musiał krwawą z nimi walkę rozpocząć. Po wielu wzajemnych cięciach, które już nie jednę ranę zadały, ugodził go któryś z nieprzyjacioł tak silnie w prawe ramię, iż mu szabla z ręki wypadła.

»To za twoje, panie Tarczyński!« krzyknął uradowany zwycięzca. »Teraz go żywcem chwytajcie!« Na te słowa Mokronowskiego, — gdyż onto odpłacił się w ten sposób czarnemu staroście za otrzymaną od niego ranę i za szydercze przestrogi Kazimiry — sięgnęły mnogie długie ramiona ku rozbrojonemu staroście, który się powtórnie ujrzał w ręku swych nieprzyjacioł. Lecz ta powtórna klęska, miała być już ostatnią. Straciwszy wszelką nadzieję ocalenia, chwycił się ostatecznego, jedynego już środka; lotem błyskawicy dobył drugą wolną jeszcze ręką pistoletu zza pasa i głowę sobie przestrzelił. Zdumieni zwycięzcy, którzy go już trzymali, upuścili go teraz ze strachem i wstecz się cofnęli. Skrwawione ciało samobójcy padło bezwładnie oziem i zostało kopytami końskiemi stratowane.

Po upadku starosty pokonano z łatwością resztę jego spółtowarzyszów.

Napadając na mieścinę, nie wiedział czarny starosta iż tam zastanie oddział konfederatów, którzy poddawszy się pod dowództwem Mokronowskiego nowemu królowi Augustowi, wracali do stolicy i dnia wczorajszego razem z księżną, noclegiem tu stanęli. Kiedy właśnie Tarczyński nad rankiem swój zamach uskutecznić zamyślał, dowiedział się Mokronowski o jego najściu na miasto i niemógł przemódz na sobie, aby polegając na wiszącym ciągle nad zbiegłym starostą sądzie, nie pokusić się o rozpoczęcie z nim walki. W ten sposób przyszło do powszechnéj utarczki pomiędzy konfederatami a towarzyszami starosty, który tu koniec swego burzliwego żywota znalazł.

Po zaprzestaniu boju pospieszył hrabia Ortenburg do pozostałych w oberzy pań, aby je zupełnie już uspokoić. Dopiéro powtórne zapewnienia, iż wszelkie niebezpieczeństwo przeminęło, zdołały ukoić księżnę. Matylda zadrzała na wieść o śmierci nieszczęśliwego, który jeszcze przed kilku dniami w tak przerażający sposób całą ciemną otchłań swéj duszy odsłonił był przed jéj wzrokiem, a teraz padł ofiarą swéj zaciekłości.

Ciało zabitego starosty oddano mnichom pobliskiego klasztoru Karmelitów, którzy mu jednak nie chcieli pozwolić spoczynku w poświęconéj ziemi. Ze wszystkich dworzan, co się za jego życia skarbami jego paśli, za jego złoto we wszystkiém mu pomagali, został mu po śmierci tylko jeden stary sługa Dominik. Ten chciał zwłoki jego przewieźć do dóbr rodzinnych i pochować je tam przy boku jego matki, lecz nikt za pieniądze nawet nie podjął się tego przewozu, a tak musiał swojego pana z płaczem pogrzebać pod drzewem, którego gałęzie sięgając poza płot pobliskiego cmętarza, nad poświęconą ziemią się unosiły.

Dobra starosty Tarczyńskiego spadły na dalekich krewnych, którzy przynajmniéj jego staremu słudze do śmierci przytułek zapewnili. Imię Czarnego Starosty pozostało na długo postrachem okolicznego ludu, i sam tylko stary Dominik wiedział, iż pan jego chował w sobie zarody najszlachetniejszych cnót, które wszakże jego zbyt wrząca krew, jego nieukrócona wola i nadmiar namiętności stłumiły.

Wkrótce po przybyciu księżnéj-kanclerzyny do Warszawy odbyły się tamże zaręczyny hrabiego Ortenburga z panną de Raschau. Świetne uczty, które z tego powodu w pałacu księcia Wiśniowieckiego wyprawiono, nieustanne zabawy i przepych, jaki się przy tém objawiał, ożywiały w Matyldzie coraz bardziéj tęsknotę do samotności, która ją po zaślubieniu z kochankiem, w jéj rodzinnym kraju czekała. Lecz to najmilsze życzenie jéj serca przyszło dopiero w następnym roku do skutku; w zimie bowiem dopiéro przybył król August III z małżonką swoją do Warszawy na koronacyję, a w tymże samym czasie nastąpiło zaślubienie siostrzenicy księcia Wiśniowieckiego. Na wiosnę zaś opuścili nowożeńcy Warszawę i odjechali do ojczystéj Saxonii, aby tam zdala od dworskich uciech i smutków, pędzić niewinne życie pokoju i miłości. Jedno tylko pożegnanie sprawiało boleść Matyldzie: byłoto pożegnanie z grobem jéj matki.

Zresztą nie pozostawiała ona w Polsce nikogo, coby był drogim jéj sercu. Bo i Kazimiry, przyjaciółki jéj, którą zawsze równie kochała, nie było już wtedy w Polsce. Podług ostatnich wiadomości bawiła ona ze swoim stryjem w Gdańsku, który z rzadką wiernością opierał się Rossyjanom. Nakońcu jednak musiało miasto po długiém oblężeniu uledz podwojonym siłom rossyjskiéj i saskiéj armii i zawarło przymierze z nieprzyjacielem, który sobie okazaną królowi Stanisławowi wierność drogo opłacić kazał. Na kilka dni przed zawartą kapitulacyją skłonił się Stanisław Leszczyński do prośby swoich przyjacioł, i przebrany jak wówczas, gdy na początku bezkrólewia z Francyi do Polski spieszył, ocalił się nie bez wielkiego niebezpieczeństwa powtórną ucieczką do państwa swojéj córki. Z nim razem udał się tam i zacny Ossoliński, nie mogąc żadną miarą sprzeniewierzyć się królowi, któremu niegdyś w tak radośnéj nadziei ułatwił przybycie do ojczyzny. Teraz opuszczali ją obaj w żalu, i pomarli też zdala od niéj w Lotaryngii, która jak wiadomo, wskutek wojny, podjętéj przez Francyję dla ojca swojéj królowéj, dostała się jako oddzielne księstwo Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Kazimira wyjechała wraz z swoim stryjem do Francyi, ale nie mając stałego umysłu Matyldy, uległa nadspodziw prędko zbawiennemu wpływowi czasu i zapomniała zupełnie, co ją w ojczyźnie bolało. Po niewielu latach doszła Matyldę wiadomość, iż panna Kazimira Ossolińska poślubiła jednego z najznakomitszych kawalerów dworu Ludwika XV.

»Cieszę się tém mocno,« — rzekła Matylda do swego męża — »lecz nie sądziłam przecie, aby tak łatwo zepomnieć można.«

»Czyliż daremny żal, jakiego od niéj żądasz,« — odpowiedział małżonek — »uczyniłby ją milszą przed Bogiem i przed ludźmi. Kazimira będzie szczęśliwą, a to jest naszém prawdziwém przeznaczeniem, do którego i cierpienia nawet przyczynić się powinny.«

»Więc i ty także mógłbyś mię łatwo zapomnieć?« zapytała Matylda. Julijusz nic nato nie odpowiedział; lecz tkliwe spojrzenie jego wiernego oka było najwymowniejszém zapewnieniem nieodmiennéj miłości, i uspokoiło Matyldę.

Scena francuzka.

Wysoki stopień wykształcenia, jaki teraźniejsza sztuka sceniczna we Francyi osiągnęła, stał się powodem wyrobienia się tamże rozmaitych niezwyczajnych stosunków, o których my osobliwie, ani wyobrażenia nie mamy. Do takich szczególnych własności teatru francuzkiego należy naprzykład, zyskowność autorstwa dramatycznego, albo też — zwracając uwagę na ciemniejszą stronę obrazu — uorganizowanie zupełnego systemu oklaskiwania, czyli tak zwanéj: klaki. — Za dowód nadzwyczajnych dochodów, jakie francuzcy pisarze dramatyczni z prac swoich pobierają, może nam posłużyć ogłoszony niedawno rachunek sławnego Scribe, który od dnia przedstawienia swéj pierwszéj sztuki »*Le Dervis*« aż do 31go grudnia 1843, po napisaniu komedyi »*Verre d'eau*« wybrał sumę 2 milijonów 112.000 fran-

ków. Podobnież i inni autorowie, którzy nawet nie dla samego tylko teatru piszą, są hojnie za swoję pracę wynagradzani, jak naprzykład Alexander Dumas, który od »*Théâtre français*« rocznie 54.000 franków regularnej pensyi pobiéra. — O systematycznéj organizacyi teatralnych klaskaczów możemy powziąć niejakie wyobrażenie z nekrologu zmarłego niedawno jenerała wszystkich klakerów, pana Auguste, o którym pisma francuzkie następne szczegóły zawiérają: Jako naczelnik całéj armii klaskaczy zostawał Auguste w bezpośrednich związkach z samą administracyją wielkiéj opery. Przed każdém przedstawieniem udawał on się około 3ciéj godziny do biura, gdzie mu pewną nieoznaczoną liczbę biletów doręczono. O czwartej godzinie obchodził główne kawiarnie i restauratornie w celu porozumienia się z podrzędnymi wodzami swojego wojska i ułożenia z nimi planu dzisiejszéj wyprawy. Niektóre z otrzymanych biletów przedawał wpółdarmo, kładąc jednak warunek klaskania z całéj siły. Resztę biletów zabierali dowódzcy mniejszych oddziałów, i znakomitsze klakery, którym równie też wolno było przedać co wieczór kilka biletów — na swój dochód. Przy wszelkich ważniejszych przedstawieniach otrzymywał Auguste przynajmniéj 150, a często daleko więcej biletów, oprócz których żadnej innej nagrody od administracyi nie pobierał. — Pierwsze przedstawienie wielkiéj opery bywało dla p. Auguste ważnym zawsze wypadkiem. Przygotowywał się kilkanaście dni na to: bywał na próbach, czytał pilnie libretto, zastanawiał się nad muzyką, oglądał starannie dekoracyje, a po jeneralnéj próbie miewał jeszcze naradę z dyrektorem, któremu udzielał swego zdania o nowéj sztuce, wymieniając zarazem aryje, przy których, podług jego mniemania, należało podwoić lub potroić oklaski. Administracyja wyznacza sama każdemu artyście miarę pochwał, które on z rąk klakerów ma otrzymać; oprócz tego jednak abonowali się niektórzy artyści miesięcznie i rocznie u pana Auguste, co wszakże nie tyczyło się ról nowych, gdyż te bywały zawsze z uchyleniem abonamentu dawane, a zatem osobno też płacone. — Wieczorem, około piątéj godziny, wchodził Auguste ze swemi wiernemi plutonami — podzielonemi zazwyczaj na trzy kompanije, po 15 ludzi w każdéj — przez boczne drzwi do teatru, a z otwarciem kasy znajdowała się cała armija na swoich stanowiskach. Sam naczelnik stawał zwykle tuż pod lampionem na parterze, i kierował ztamtąd ruchami sprzymierzonych klakerów, nazwanych przez Paryżanów z niewiadomej przyczyny »*les Romains*« — Rzymianami. — W powszedniem życiu bywał Auguste wszędzie mile widzianym i odbiérał tysiączne zewsząd grzeczności i pochlebstwa. Kompozytorowie i poeci dobijali się o jego protekcyję; śpiewaczki i tancerki ubiegały się o jego przyjaźń, a niejeden pan milijonowy, który jaką sylfidę szczególnémi obdarzał względami, ściskał go poufale za rękę i nadstawiał mu tabakierkę. Ale te zaszczyty i przyjemności nie były jedyną korzyścią, jaką mu jego zawód przynosił. Oprócz listy cywilnej, wyznaczonéj mu przez dyrekcyję wielkiéj opery, płacili mu — jak powiedziano — wszyscy artyści znakomitą daninę. Nourrit, Taglioni, Elssler, dawali mu za każde swoje pierwsze wystąpienie po 500, za drugie po 300, za trzecie po 200, a za każde dalsze wystąpienie 100 franków. W ten sposób zrobił Auguste w krótkim czasie majątek. Śmierć jego jest smutnym wypadkiem dla opery. Sądzą iż nie łatwo znajdzie mu się następcę.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 3ci i zawiéra: 1) O oszacowaniu dóbr w celu zadzierżawienia ich. (Dokończenie.) 2) Czem użyźniać pole pod lucernę i zboże? 3) O zużyciu paliwa i pary, tudzież o potrzebnych aparatach warzelnych, w celu uzyskania jak największéj ilości cukru w fabryce na zasadzie maceracyi urządzonéj. Według sprawozdania cukrowni hr. Potockiego w Chrząstkowie pod Koniecpolem w królestwie polskiém. Nadesłane przez dr. Franciszka Betzholda radzcę leśnictwa i rolnictwa. 4) Raporta handlowe.

Pisma Julii Goczałkowskiej. Z początkiem roku bieżącego wyszedł w Bochni u Pisza, 1szy tom pisem wiérszem i prozą pani Julii Goczałkowskiej. Świéża ta publikacyja powiększyła poczet naszych pisarek o jedno nowe imię. Lubo nie mamy zamiaru wieszczenia krasomowczo, jakoby z okazaniem się tego imienia nowa świetna zorza na spokojnem niebie naszéj literatury zabłysła, możemy przecież śmiało całemu gronu literatek oznajmić, iż pióro ich nowéj spółzawodniczki nie jest wcale mniéj pięknem i zajmującem niż pióro niejednéj piszącéj Anny, Pauliny lub Karoliny — a z czasem dorówna zapewne najzawołańszym dziś filozofkom i wojażerkom. Bo podług ścisłego obliczenia wieku naszéj autorki, która nam sama łatwy ku temu klucz w swojém dziełku wskazała, jest ona jeszcze młoda, dopiero zaczynająca, i o ile już teraz nie mało swojemi utworami nas ucieszyła, o tyle jeszcze więcej pochlebnych nadziei rokuje nam na przyszłość. Dotychczasowy 1szy tomik jéj pisem zawiéra: trzechaktowy dramat pod nazwą: Kwestarz — poezyje — i pieśni ewangelijne. Ze wszystkiego podobał się nam najbardziej oddział średni: poezyje. W tym ładnym zbiorku znajdują się wiérsze liryczne, brzmiące po większej części nutą łagodnego, osobistego żalu, i niektóre powiastki, opiewające bądź dawniejsze podania ludu, jak Studnia kochanków, bądź potoczne zdarzenie teraźniejszości, jak Okulice. Jedne i drugie są z prawdziwie niewieścim wdziękiem pisane i znamionują istotny talent. Niémasz tam prawie zwrotki, któraby nie była wyrazem najrzewniejszego uczucia, i któraby też zarówno rzewnie nie przemówiła do — czytelniczki. Bo dla czytelników jest to cokolwiek zanadto mleczny, słodkawy pokarm, który ich nie tak łatwo poruszy; ale też sama 17letnia autorka z roku 1835, nie mogła oczywiście pomyśléć o tém, i śpiewając swoje ładne dumania, śpiéwała je dla siebie i dla tych, którym równie bolesnotkliwe serce pod gorsetem albo i frakiem bije. Ztąd też my inni, wybrydni krytykowie i czytelnicy nie mamy nawet prawa przystępować z ciężkim recenzenckim cepem do wymłacania pożytecznego ziarna z tych delikatnych kwiatków, lecz skoro one nie są kąkolem, cieszymy się niemi, jak owym tam bławatem, który w bruzdach kmiecego żyta na wianki dla dziewcząt rośnie. Tych zaś bliźnich serc, dla których mianowicie pisma pani Goczałkowskiéj są przeznaczone, nie możemy lepiej o piękności jéj uczuciowych tworów przekonać, jak przytaczając na próbkę którykolwiek ustęp z jéj miłych wierszów, n. p. następujące zwrotki z Pożegnania wioski rodzinnéj:

Tu wśród kochanéj wzrastałam rodziny,
W wspólnym udziele szczęścia i niedoli,
Jakby w zaciszu cienistéj krzewiny
Latorośl dzikiéj topoli. —

Żegnam cię żegnam góro ukochana
Z szczytem brzozowem, gdzie wyższa nad światy
Siedziałam często, okiem niedojrzana,
Strojąc mój umysł w ideałów kwiaty. —
Mijały błogo dziecinne me lata,
A dusza w lubych wzrastała marzeniach,
Wzrosła nad poziom niniejszego świata,
Spadła — i tonie w przeszłości wspomnieniach —
Kolebko luba!... Wdzięczne serce moje
Lepiéj się tobie wywiązać nie może,
Jak błagać nieba żeby niwy twoje
Ciągłej swobody oświécały zorze! — —

Takąż samą rzewnością i prostotą odznaczają się wszystkie utwory pod oddziałem: pezyje. Zawarte w ostatnim oddziele pieśni ewangelijne, są również piękne; ale ponieważ podobne pieśni, mając być najwznioślejszym ludzkiéj duszy wyrazem, bo wyrazem religijnego natchnienia, więcéj też niż zwykłego uczucia wymagają, przeto pomimo swoje zalety, zdały one się nam niższémi od poezyj poprzedniego oddziału. Największej jednak siły twórczości wymagał umieszczony na czele tegoż tomiku dramat: najsłabiéj też został wykonanym. Wątpię aby on nawet u jakkolwiek pobłażającej czytelniczki upodobanie mógł znaleźć. Lecz i zkądże dziewicze pióro autorki ujęło się kreślić tak niegodne charaktery, jak owe najczynniejszego bohatera téj sztuki hr. Alfonsa i jego służalca Toma— ? — charaktery i stosunki, które nasza młoda pisarka zna chyba tylko z romansów.— Żałujemy szczerze téj pracy, gdyż obok chybionych obrazów niesłychanie złych ludzi jak Alfons, Tom, i niesłychanie dobrych jak o. Celestyn, Wanda, Maryja — postrzegamy dość trafne rysy niektórych zwyczajnych postaci towarzystwa i życia, jak n. p. owéj poczciwéj Francuzicy, młynarza i jego żony, — co nam pozwala wnosić, iż gdyby pani Goczałkowska chciała zająć się malowaniem mniéj romantycznych a więcéj w sobie prawdy mających obrazów z życia, takowe bez wątpienia wielceby się jéj powiodły. Jak wiadomo posiadają kobiéty rzadki talent bystrego dostrzegania, który wszelkim ich opisom podróżowym tyle wdzięku nadaje. Nie myślemy przeto wysyłać nasze piszące damy w daleką drogę, lecz tuż około nich leżą nieznane jeszcze kraje ich własnéj ojczystéj ziemi, są jeszcze nieopisane a tak piękne rodzinne miejsca i okolice, mieszka lud rolniczy, daleko więcéj nam obcy niżli górale szkoccy lub zbójcy kalabryjscy, kryją się po tych dworkach i dworach charaktery osobliwsze od wszystkich oryginałów angielskich, i zachowują się wreszcie zwyczaje, nałogi, obrzędy, które tylko wiernie skreślić potrzeba, aby się z tego najzabawniejsze, bądźto już dramatyczne, bądź powieściowe, bądź czysto opisowe szkice złożyły. My wiemy dobrze iż pani G. posiada rzadkie do tego usposobienie; a pani G. czyż nie znajduje, iżby to było najstosowniejszém polem dla kobiécego pióra — zwłaszcza gdy wiosenna pora poetycznéj tęsknoty minie — ?

Lecz czemuż wydanie drukarskie tak niepoprawne? Pełno wszędzie najgrubszych błędów, które nie zawsze są drukarskiemi. Na każdy wypadek powinnaby nowa, przedsiębiorcza drukarnia Pisza postarać się o większą poprawność korekty, gdyż do niejto należy poprawiać ortografijne usterki rękopismu. Wypada zaś tembardziéj nastawać nato, ponieważ podobne upowszechnianie błędnej pisowni większą nieraz publiczności szkodę wyrządzić może, niż całe dziełko pożytku jéj przyniesie. Sz.

Długi publiczne zjednoczonych stanów Ameryki północnéj. Ze wszystkich państw pomniejszych, należących do związku zjednoczonych stanów są tylko Vermont, Newhampshire, Rhode Island, Connecticut, Newjerrsey, Delaware, północna Karolina i powiat Jowa, wolne od wszelkich długów, wszystkie inne państwa i powiaty mają 198.818.765 dollarów długów. Oprócz téj wielkiéj sumy winne są jeszcze niektóre państwa 28.101.644 centralnemu rządowi, tak iż cała masa długów wynosi blisko 227.000.000 dollarów. Z tych pieniędzy obrócono jedną część na zakładanie kolei żelaznych i kanałów, drugą na ulepszenia wewnętrzne, trzecią na zapomaganie towarzystw prywatnych, w celach publicznéj użyteczności zawiązanych, piątą wreszcie na urządzenie zakładów bankowych.

Major Czegołowski. W ostatnich czasach wyszła w Petersburgu książka, która powszechne wrażenie sprawia. Jestto biografija majora Czegołowskiego, starego żołnierza, mającego obecnie 1.7 lat, który od pół wieku żył na wygnaniu w Sybirze, dokąd go wysłano bez sądu i wyroku, a nawet bez poszlaki jakiejkolwiek zbrodni, do któréj się bynajmniéj nie poczuwał. Nabłagawszy się przez 52 lat daremnie o sprawiedliwość, został wysłuchanym nareszcie przez cesarza Mikołaja, który oprócz tego wszelkiémi sposobami jego niewinnie doznane cierpienia wynagrodzić się starał. Czegołowski wstąpił r. 1762 do wojska, i odbywszy w Niemczech całą siedmioletnią wojnę, udał się pod rozkazami księcia Dołgorukiego do Rzymu, gdzie pojmany przez Turków, był jako więzień na wyspy archipelagu wysłany. Bawił tam cztéry lata, nim go nareszcie wykupiono. Powróciwszy do kraju został mianowany porucznikiem i towarzyszył imperatorowéj w jéj powszechnie znanéj teatralnéj podróży po Krymie. Będąc jeszcze młodym, mając zgrabną figurę, i dobrze tańcząc, zwrócił na jednym balu uwagę cesarzowéj na siebie, i otrzymał w upominku złotą tabakierkę. Lecz wkrótce inne gody odwołały go nad brzegi Dunaju, gdzie czarny orzeł z półmiesiącem w krwawych zostawał bojach. Odznaczywszy się przy zdobyciu Oczakowa, postąpił na kapitana i dostał szablę honorową w darze. Po skończonéj wyprawie wrócił na dwór cesarski, gdzie jego piękność i układność zjednały mu względy kilku dostojnych dam, a pomiędzy témi i pewnéj polskiéj księżny, w któréj Potemkin był zakochanym. Przezto ściągnął na siebie nienawiść tegoż ministra, który go pod pozorem niepełnowania służby, kazał skasować i w kajdanach na Sybir wysłać, gdzie aż do roku 1842 w zapomnieniu pozostał. Dopiero w tym roku powiodło mu się ująć dla siebie cesarza Mikołaja, który go znowu kapitanem mianował. Chcąc zato osobiście cesarzowi podziękować, udał się w drogę i przybył roku 1843 w towarzystwie jednego ze swoich synów do Petersburga. Tu widywał go cesarz kilkokrotnie i przedstawił go swéj rodzinie, która długo ze stoletnim starcem rozmawiała. Później wyniosł go cesarz Mikołaj na majora i dał mu uniform, jaki za czasów cesarzowéj Katarzyny noszono. Obsypany darami wrócił starzec zeszłego roku nazad do Irkucka, gdzie żył przez 52 lat w niewoli, i gdzie też umrzéć pragnie.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.